



Nie każdy błąd zasługuje  
na konsekwencje. Czasem  
jedyne, na co zasługuje,  
to przebaczenie.

COLLEEN HOOVER  
**WITHOUT  
MÉRIT**

moondrive

*Książkę tę dedykuję Cale'owi Hooverowi. Ponieważ jestem Twoją matką i Cię kocham, mam czasem przemożną chęć, by schować Cię pod kloszem i chronić przed światem. Ale mam też przemożną chęć, by świat schować pod kloszem i ochronić go przed Tobą. Bo pewnego dnia wywrócisz go do góry nogami. Nie mogę się doczekać.*



## ROZDZIAŁ 1

Posiadam imponującą kolekcję trofeów, których nie zdobyłam. Większość kupiłam w sklepach ze starociami lub na wyprzedażach garażowych. Dwa dostałam od ojca na siedemnaste urodziny. Tylko jedno ukradłam.

Najmniej chyba lubię to skradzione. Zabrałam je z pokoju Drew Waldrupa tuż po tym, jak mnie rzucił. Chodziliśmy ze sobą dwa miesiące i właśnie po raz pierwszy pozwoliłam mu włożyć rękę pod moją bluzkę. Myślałam, jakie to przyjemne uczucie, kiedy spojrział na mnie i powiedział: „Chyba nie chcę już z tobą chodzić, Merit”.

To ja rozkoszuję się jego ręką na moim cycku, a on przez cały czas myśli, że już nigdy nie chce jej tam trzymać?! Ze stoickim spokojem wysunęłam się spod niego i podniosłam. Strzepnąwszy spódnice, podeszłam do regału i chwyciłam największe trofeum, jakie miał. Nie odezwał się ani słowem. Doszłam do wniosku, że skoro rzucił mnie z łapą pod moją bluzką, należy mi się za to przynajmniej trofeum.

Ten puchar dzielnicowego turnieju piłki nożnej zapoczątkował moją kolekcję. Od tamtej pory kupowałam rozmaite trofea za każdym razem, kiedy przydarzało mi się coś kijowego.

Oblałam test na prawo jazdy? Pierwsze miejsce w pchnięciu kulą.

Nie zostałam zaproszona na bal gimnazjalny? Gwiazdorska obsada w jednoaktówce.

Ojciec oświadczył się kochance? Mistrzowie małej ligi.

Minęły dwa lata, odkąd ukradłam tamto pierwsze trofeum. Teraz mam ich dwanaście, choć od czasu, kiedy Drew Waldrup ze mną zerwał, przydarzyło mi się znacznie więcej gównianych rzeczy. Ale zaskakująco trudno znaleźć niechciane trofea. I właśnie dlatego stoję w miejscowym sklepie ze starociami i przyglądam się pucharowi za siódme miejsce w konkursie piękności. Mam na niego chrapkę, odkąd zobaczyłam go pierwszy raz pół roku temu. Ma jakieś czterdzieści pięć centymetrów i pochodzi z konkursu na Miss Dallas z 1972 roku pod hasłem Kozaczki i Kokietki.

Podoba mi się ze względu na niedorzeczną nazwę, ale zakochałam się w nim z powodu pozłacanej figurki na szczycie. Ma na sobie suknię balową, tiarę i kozaki z ostrogami. Całość jest absurdalna. A zwłaszcza cena opiewająca na osiemdziesiąt pięć dolarów. Ale od kiedy moje spojrzenie padło na ten puchar, odkładałam pieniądze i wreszcie mam wystarczająco, żeby go kupić.

Sięgam po trofeum i ruszam w stronę kasy, gdy na drugim piętrze sklepu dostrzegam chłopaka. Opiera się o balustradę i gapi się na mnie. Jego podbródek spoczywa swobodnie na jednej z dłoni, jakby już od dobrej chwili znajdował się w tej pozycji. Gdy tylko nasze oczy się spotykają, chłopak się uśmiecha.

Odwzajemniam uśmiech, co nie jest dla mnie typowe. Nie należę do flirciar, a już z całą pewnością nie należę do osób, które wiedzą, jak odwzajemnić cudzy flirt. Ale jego uśmiech jest sympatyczny, poza tym jesteśmy na różnych piętrach, więc nie grozi mi potencjalnie krępująca sytuacja.

– Co robisz? – woła.

Oczywiście oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy to pytanie skierował do mnie. Może wcale nie patrzy na mnie, tylko rozmawia z kimś za moimi plecami. Ale oprócz matki, która odważyła się wejść do sklepu ze swoim małym synkiem, nie ma w pobliżu nikogo. A że kobieta z dzieckiem stoją do nas tyłem, musi zwracać się do mnie.

Z powrotem podnoszę na niego wzrok, a on wciąż wpatruje się we mnie z tym samym uśmiechem.

– Kupuję puchar!

Wydaje mi się, że mogłabym polubić jego uśmiech, ale stoi nieco zbyt daleko, żebym mogła stwierdzić, czy on sam by mi się podobał. Jest atrakcyjny już przez samą pewność siebie. Ma ciemne włosy, trochę za bardzo rozczochrane i byle jakie, ale nie oceniam, bo sama chyba nie chesałam się od wczorajszego poranka. Ma na sobie szarą bluzę z kapturem i rękawami podciągniętymi powyżej łokcia. Ramię, na którym opiera podbródek, pokrywają tatuaże, ale z miejsca, w którym stoję, nie widzę ich dokładnie. Wydaje mi się, że jest trochę za młody i zbyt wytatuowany, żeby poszukiwać antyków rankiem w środku tygodnia, ale jakie ja mam prawo głosu? Powinnam być właśnie w szkole.

Odwracam się i udaję, że robię zakupy, ale mam świadomość, że mnie obserwuje. Usiłuję go zignorować, ale od czasu do czasu zerkam na górę, by się upewnić, czy nadal tam stoi. Stoi.

Może pracuje tu i dlatego nie rusza się z miejsca, ale to nie tłumaczy, czemu się na mnie gapi. Jeśli to jego sposób na podryw, to dość dziwaczny. Niestety pociąga mnie to, co niekonwencjonalne i dziwaczne. Tak więc całą wizytę w sklepie zmuszam się, żeby sprawiać wrażenie nieporuszonej, choć w rzeczywistości jestem bardzo poruszona. Na każdym kroku czuję na sobie jego spojrzenie. Spojrzenia nie powinny nic ważyć, ale świadomość, że spoczywają na mnie jego oczy, sprawia, że ciężiej mi się poruszać. Czuję to nawet w żołądku.

Przejrzałam już całą zawartość sklepu, ale za bardzo podoba mi się ta gra, żeby płacić i wychodzić.

Chodzę do bardzo małej szkoły w bardzo małym miasteczku. A słowo „mały” jest tu sporym eufemizmem. W każdym roczniku jest jakieś dwadzieścioro dzieciaków. Nie w klasie. W roczniku.

W mojej klasie jest dwudziestu dwu uczniów – dwanaście dziewczyn i dziesięciu chłopców. Ośmiu z nich chodzi ze mną do klasy od piątego roku życia. To znacząco zawęża materiał randkowy. Trudno czuć pociąg do kogoś, kogo od piątych urodzin widuje się niemal codziennie.

Nie mam jednak pojęcia, kim jest chłopak, który skupia na mnie całą swoją uwagę. Czuję do niego pociąg większy niż do kogokolwiek z całej mojej szkoły tylko dlatego, że go nie znam.

Zatrzymuję się w alejce, którą z miejsca, gdzie stoi, widać jak na dłoni, i udaję zainteresowanie jednym z szyldów wystawionych na półce. To stara biała tabliczka z napisem „Rurociąg” i strzałką w prawo. Rozśmiesza mnie. Obok jest wysłużona wywieszka, jakby ze sklepu chemicznego. „Środek poślizgowy”, głosi napis. Zaczynam się zastanawiać, czy ktoś celowo umieścił te erotycznie dwuznaczne znaki obok siebie czy to przypadek. Gdyby mnie było stać, kupiłabym je i zapoczątkowała w sypialni kolekcję erotycznie dwuznacznych szyldów. Ale mój pucharowy nałóg jest już wystarczająco kosztowny.

Mały chłopiec, który zwiedzał sklep razem z matką, stoi teraz nieopodal mnie. Wygląda na jakieś cztery–pięć lat. Tyle co mój młodszy brat Moby. Matka chłopca pewnie z dziesięć razy zabraniała mu dotykania czegokolwiek, ale on bierze do ręki szklaną świnkę stojącą przed nami na półce. Czemu dzieci tak ciągnie do delikatnych przedmiotów? Z błyszczącymi oczami przygląda się śwince. Rozumiem, że jego ciekawość jest silniejsza niż chęć słuchania poleceń matki.

– Mamo, kupisz mi to?

Jego matka stoi alejkę dalej, gdzie przekopuje stos starych czasopism. Nawet się nie odwraca, żeby popatrzeć, co mały trzyma w ręce, mówi tylko:

– Nie.

Malec chmurnieje, marszczy brwi. Idzie odstawić świnę z powrotem na półkę. Ale jego małe rączki są niezdarne i skarbonka wysuwa się z uścisku, po czym roztrzaskuje u jego stóp.

– Nie ruszaj się – mówię, docierając do niego szybciej niż matka. Pochylam się i zaczynam zbierać kawałki.

Kobieta podnosi syna i stawia z dala od szkła.

– Mówiłam, żebyś niczego nie ruszał, Nate!

Rzucam okiem na małego. Wpatruje się w rozbite szkło, jakby właśnie stracił najlepszego przyjaciela. Jego matka przyciska dłoń do czoła gestem osoby wykończonej i sfrustrowanej, po czym pochyła się i pomaga mi zbierać okruchy.

– To nie jego wina – mówię. – To ja ją stłukłam.

Kobieta patrzy na swojego synka, a on na mnie, jakby się zastanawiał, czy to jakiś test. Mrugam do niego, zanim ona odwróci się z powrotem, i mówię:

– Nie zauważyłam go. Wpadłam na niego i wytrąciłam mu ją z ręki.

Matka wygląda na zaskoczoną, a może nawet troszkę zawstydzoną, że z góry założyła winę syna.

– Tak? – mówi.

Dalej pomaga mi wybierać co większe kawałki szkła. Mężczyzna, który stał przy kasie, kiedy wchodziłam, zjawia się nagle z miotłą i śmietniczką.

– Resztę posprzątam – mówi.

Po czym wskazuje tabliczkę na ścianie z napisem „Stłuczesz, kupujesz”.

Kobieta bierze synka za rękę i odchodzi. Mały spogląda przez ramię i się do mnie uśmiecha. Warto było wziąć winę na siebie. Zwracam się do mężczyzny z miotłą.

– Ile kosztowała?

– Czterdzieści dziewięć dolarów. Ale policzę tylko trzydzieści.

Wzdycham. Nie jestem pewna, czy uśmiech małego chłopca wart jest trzydziestu dolicz. Odnoszę swój puchar konkursu piękności na miejsce i biorę z półki znacznie tańsze, znacznie



mniej interesujące trofeum. Przy kasie płacę za rozbitą świnkę i pierwsze miejsce w kręglach. Mężczyzna wręcza mi torbę i resztę. Ruszam do drzwi, zanim je jednak pchnę, przypominam sobie o chłopaku, który obserwował mnie zza barierki na piętrze. Zerkam na górę, ale już go tam nie ma. Z jakiegoś powodu czuję przez to jeszcze większy ciężar.

Opuszczam sklep i przechodzę przez ulicę, zmierzając w stronę jednego ze stolików przy fontannie. Mieszkam w Hrabstwie Hopkins od urodzenia, ale rzadko bywam na rynku. Nie wiem czemu, bo moja miłość do tego miejsca umocniła się, kiedy ustawiono dziwaczne oznakowanie przejścia dla pieszych. Mężczyzna widniejący na znaku przekracza ulicę, ale nogę ma uniesioną tak wysoko i jest tak przerysowany, że jego krok mógłby uchodzić za jakiś absurdalny chód rodem z Monty Pythona.

Są tu też dwie toalety, które miasto zainstalowało parę lat temu. To dwie szklane konstrukcje, które z zewnątrz wyglądają jak wysokie sześciany z luster, ale z ich wnętrza widać całe otoczenie. To trochę niepokojące, że ktoś może siedzieć na toalecie i się załatwiać, obserwując jednocześnie przejeżdżające auta. Ale mnie pociągają wyjątkowe rzeczy, należą więc do nielicznych zapewne osób, które są dumne z tych dziwacznych toalet.

– Dla kogo ten puchar?

*À propos* wyjątkowych rzeczy.

Staje koło mnie chłopak ze sklepu ze starociami i mogę stwierdzić z całą pewnością, że jest atrakcyjny. Oczywiście ma w rzadkim odcieniu jasnoniebieskiego, są więc pierwszą rzeczą, która przyciąga uwagę. W pewnym sensie nie pasują do jego oliwkowej karnacji i bardzo ciemnych włosów. Przyglądam się przez chwilę jego fryzurze. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam u kogoś tak czarne włosy przy tak niebieskich oczach. Trochę się ze sobą kłóć. Przynajmniej jak dla mnie.

Ciągle uśmiecha się do mnie, tak jak z piętra w sklepie. Zastanawiam się, czy zawsze się uśmiecha. Mam nadzieję, że nie. Podobna mi się myśl, że może uśmiecha się do mnie, bo nie potrafi się

powstrzymać. Wskazuje ruchem głowy torbę w mojej ręce, a ja przypominam sobie nagle, że zadał mi pytanie na temat pucharu.

– A, dla mnie.

Przechyla głowę z rozbawienia albo zdziwienia. Nie wiem tak naprawdę, którą z tych rzeczy czuje, ale obie mi odpowiadają.

– Kolekcjonujesz trofea, których nie zdobyłaś?

Przytakuję, co wywołuje jego śmiech, ale z gatunku tych cichych. Prawie tak, jakby chciał go zatrzymać dla siebie. Wsuwa dłonie do tylnych kieszeni.

– Czemu nie jesteś teraz w szkole?

Nie wiedziałam, że tak bardzo widać, że nadal chodzę do liceum. Rzucam torbę na stolik obok nas i zsuwam sandały.

– Ładny dziś dzień. Nie chciałam siedzieć zamknięta w klasie.

Podchodzę do fontanny, która tak naprawdę wcale nie jest fontanną. To płaska betonowa powierzchnia w kształcie gwiazdy. Woda wypływa z otworów wokół niej i tryska w kierunku jej środka. Naciskam jeden z otworów stopą i czekam, aż strumień w nią uderzy.

To ostatni tydzień października, więc jest za zimno, żeby dzieci bawiły się w wodzie, jak zwykle robią to latem, ale nie za zimno, żeby trochę zmoczyć nogi. Lubię, kiedy woda uderza w podeszwy moich stóp. A ponieważ nie stać mnie na pedicure, to najlepsze, co mogę sobie zafundować.

Chłopak przez chwilę mi się przygląda, a ja, jeśli mam być szczerą, zaczynam do tego przywykać. Staje się czymś na kształt mojego osobistego, nieco bardziej atrakcyjnego cienia. Zsuwa od niechcenia buty, a ja nie patrzę wprost na niego. Staje koło mnie i przyciska stopę do otworu.

Zerkam teraz na jego ramię, żeby przyjrzeć się tatuażom. Miałam rację – są tylko na lewej ręce, na prawej nie ma ani jednego. Ale te na lewej odbiegają od tego, czego się spodziewałam. Są przypadkowe, zupełnie ze sobą niezwiązane. Jeden przedstawia małe toster z wystającą z niego grzanką. Znajduje się na zewnętrznej stronie nadgarstka. Koło łokcia widzę agrałkę. Na

przedramieniu rozciąga się napis: „Twoja kolej, Doktorku”. Przenoszę wzrok na górną część jego ramienia, a on spogląda na swoje stopy. Właśnie mam spytać go o imię, kiedy czuję nieoczekiwane uderzenie wody. Wybucham śmiechem, robię krok w tył i oboje patrzymy, jak strumień wystrzeliwuje w stronę środka fontanny.

Potem woda uderza w stopę chłopaka, ale on nie reaguje. Wciąż patrzy w dół, aż strumień pojawia się w sąsiednim otworze. Podnosi wzrok, ale kiedy tym razem na mnie spogląda, już się nie uśmiecha. Coś w jego poważnej twarzy wywołuje ucisk w mojej piersi. Otwiera usta i zaczyna mówić, a ja wsłuchuję się w każde jego słowo.

– Ze wszystkich miejsc, w których moglibyśmy być, jesteśmy akurat tu. W tym samym czasie.

W jego głosie pobrzmiwa rozbawienie, ale minę ma niemal zdumioną. Kręci głową i przysuwa się do mnie. Wyciąga wytatuowaną rękę i gładzi palcami kosmyk moich włosów. Gest jest intymny i nieoczekiwany, trochę jak cała ta chwila, ale wcale mi to nie przeszkadza. Chcę, żeby zrobił to jeszcze raz, ale cofa rękę i opuszcza wzdłuż ciała.

Nie przypominam sobie ani jednego przypadku, by ktoś patrzył na mnie tak jak on w tej chwili. Jakbym go fascynowała. Wiem, że w ogóle się nie znamy i że ta nic porozumienia między nami prawdopodobnie pęknie z chwilą, gdy odbędziemy pierwszą prawdziwą rozmowę. Pewnie okaże się dupkiem albo stwierdzi, że jestem dziwna, a potem zrobi się niezręcznie i z największą przyjemnością się rozstaniemy. Tak zazwyczaj kończą się moje kontakty z chłopakami. Ale dzięki temu, że nic o nim nie wiem, widzę tylko przejęcie malujące się na jego twarzy, mogę fantazjować, że jest doskonały. Wyobrażam sobie, że jest mądry, pełen szacunku, zabawny, uzdolniony artystycznie. Bo doskonały chłopak taki by właśnie był. Dopóki tu stoi, zadowala mnie wyobrażanie sobie, że posiada te cechy.

Robi krok w moją stronę i nagle, przez te wszystkie dodatkowe uderzenia w moich piersiach, czuję się tak, jakbym

połknęła jego serce. Jego wzrok spoczywa na moich ustach i jestem pewna, że zaraz mnie pocałuje. Mam taką nadzieję. To dziwne, bo przecież zamieniłam z nim dosłownie kilka zdań, mimo to chcę, żeby mnie pocałował. Jednocześnie wyobrażam sobie, że jest doskonały, bo to by oznaczało, że jego pocałunek też taki będzie.

Jego opuszki muskają mój nadgarstek, choć mam wrażenie, że zacisnął mi pięści na płucach. W ślad za dotykiem jego palców w górę mojej ręki podąża dreszcz, aż w końcu jego dłoń spoczywa na mojej szyi.

Nie mam pojęcia, jakim cudem wciąż stoję, bo nogi mam jak z waty. Odchylam głowę, jego usta znajdują się tuż przy moich, jakby się wahał. Uśmiecha się i szepcze:

– Grzebiesz mnie.

Nie mam pojęcia, co oznaczają te słowa, ale mi się podobają. I podoba mi się, jak jego usta delikatnie stykają się z moimi, wypowiedziawszy to, co właśnie wypowiedziały. Miałam rację. Jest doskonale. Tak doskonale, że przypomina mi to stare filmy, w których główny bohater przyciskał dłoń do pleców kobiety, ona pod tym naciskiem wyginała ciało w kształt litery C, a on przyciągał ją do siebie. Dokładnie tak.

Przyciąga mnie do siebie, a jego język ślizga się po moich wargach. I tak jak w filmach moje ręce zwisają bezwładnie wzdłuż ciała, dopóki nie zdaję sobie sprawy, jak bardzo chcę w tym uczestniczyć razem z nim, i wreszcie odwzajemniam pocałunek. Smakuje jak lody miętowe – i świetnie, bo ta chwila ląduje wysoko w rankingu moich ulubionych rzeczy, tuż obok deserów. To niemal komiczne – obcy człowiek całuje mnie tak, jakby to było ostatnie marzenie, które pozostało mu do spełnienia. Aż zastanawiam się, co go do tego pchnęło.

Ujmuje moją twarz w dłonie, jakbyśmy nigdzie dziś nie musieli iść. Nie spieszy się z pocałunkiem i z całą pewnością nie przejmuje się, kto nas zobaczy – stoimy na środku rynku i już dwukrotnie na nas zatrąbiono.

Zarzucam mu rękę na szyję i postanawiam, że pozwolę mu ciągnąć to tak długo, jak chce, bo nigdzie się w tej chwili nie wybieram. A nawet gdybym się wybierała, dla czegoś takiego zrezygnowałabym z planów.

W momencie, kiedy wplata dłoń w moje włosy, woda wytryskuje spod mojej stopy. Piszczę cicho, zaskoczona. On śmieje się, ale nie przestaje mnie całować. Teraz jesteśmy przemoczeni, bo moja stopa nie zakrywa całkiem otworu, ale żadne z nas się tym nie przejmuje. Potęguje to tylko szaleństwo tego pocałunku.

Szaleństwo chwili rośnie jeszcze bardziej, kiedy dzwoni jego telefon, bo oczywiście ktoś musiał akurat teraz nam przerwać. Było zbyt idealnie.

Odsuwa się, a jego spojrzenie jest jednocześnie nasycone i wygłodzone. Wyjmuje z kieszeni telefon i spogląda na niego.

– Zgubiłaś telefon czy to jakiś żart?

Wzruszam ramionami, bo nie mam pojęcia, co jego zdaniem mogłoby być żartem. Że pozwoliłam mu się pocałować? Że ktoś do niego zadzwonił, gdy się całowaliśmy? Śmieje się cicho, przyciskając komórkę do ucha.

– Słucham? – Uśmiech znika z jego twarzy i pojawia się dezorientacja. – Kto mówi?

Odczekuje parę sekund, po czym odsuwa telefon od ucha i patrzy na niego. A potem na mnie.

– Serio. To jakiś dowcip?

Nie wiem, czy mówi do mnie czy do swojego rozmówcy, więc znów wzruszam ramionami. Przykłada telefon do ucha i odsuwa się ode mnie o krok.

– Kto mówi? – powtarza. Śmieje się nerwowo i łapie za kark. – Ale... właśnie przede mną stoisz.

Czuję, jak na dźwięk tego zdania cała krew odpływa mi z twarzy. Właściwie mam wrażenie, jakby – w tej szalonej chwili z obcym chłopakiem – krew opuściła całe moje ciało. Ogarnia mnie uczucie, że jestem podrzędną kopią Honor Voss. Mojej siostry

bliźniaczki. Dziewczyny, która najwyraźniej znajduje się po drugiej stronie słuchawki.

Ukrywam twarz w dłoni, odwracam się i zgarniam buty i torbę. Mam nadzieję, że zdążę odejść jak najdalej, zanim się zorientuje, że dziewczyna, którą właśnie pocałował, nie jest Honor.

Nie wierzę, że to się dzieje. Właśnie pocałowałam chłopaka mojej siostry.

Oczywiście nie zrobiłam celowo. Czułam, że niedawno zaczęła się z kimś spotykać, bo często zniknęła, ale skąd miałam wiedzieć, że ze wszystkich chłopaków na świecie to akurat ten? Biegnę dalej, ale zanim znajdę się wystarczająco daleko, słyszę, że mnie goni.

– Hej! – woła.

To dlatego obserwował mnie w sklepie. Myślał, że jestem nią. To dlatego spytał, czemu nie jestem w szkole, bo jeśli zna Honor wystarczająco blisko, żeby ją całować, to wie, że nigdy nie poszłaby na wagary.

Teraz wszystko ma sens. To nie była przypadkowa nić porozumienia między dwojgiem nieznanymi – po prostu gość pomylił mnie ze swoją dziewczyną, a ja, jak ostatnia kretynka, nie od razu zdałam sobie sprawę, co się dzieje.

Czuję, jak chwyta mnie za łokieć. Nie mam innego wyboru, jak odwrócić się i stawić mu czoło, bo muszę się upewnić, że Honor nigdy się o tym nie dowie. Kiedy nasze oczy się spotykają, już nie patrzy na mnie tak, jakbym go fascynowała. Gapi się na swój telefon, potem na mnie, znów na telefon.

– Tak mi przykro – mówi. – Myślałem, że jesteś...

– Źle myślałeś – przerywam mu, choć zwyczajnie się pomylił.

Jesteśmy z Honor identyczne, ale gdyby lepiej znał moją siostrę, wiedziałby, że wolałaby umrzeć, niż zostać przyłapaną w miejscu publicznym w takim stanie: zero makijażu, rozczochrane włosy, a ubrania te same co wczoraj.